

egzemplarz bezpłatny

ISSN 1732-6494 nr 27, marzec 2008



mixer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego



**Młodzi są zawsze
niewygodni...**
– mówi Sławomir Shuty

miXer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Nr 27 marzec 2008

3 Apéritif

PoWaGa

Politycznie Ważne Gadanie

- 4 Dla kogo? i za co? czyli studencka perspektywa na stypendia
- 5 Mają córeczkę z poważną wadą serca
- 6 Nie będzie to olimpiada zgody...
- 6 Wspólne projekty i wyzwania

StuDnia

Studencki Drogowskaz Intelktualny

- 7 Temat: odpłatność za studia
- 8 L L P – „E R A S M U S” 2008/2009
Wyjazdy zagraniczne studentów Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Kraków od spodu

- 10 Impreza na miarę miasta europejskiego XXI w.

Temat z okładki

- 12 Młodzi są zawsze niewygodni...

KUMulus

Kulturalny Uzupełniacz Młodzieży

- 16 Magiczne angielskie drzewo życzeń
- 17 Warto chodzić do filharmonii...
- 18 „Serce pośrednik”, czyli o tym jak ręce i umysł rywalizowały w kinie
- 19 Niepokorny surrealizm
- 20 - Wywozimy ze sobą zawsze
jakąś małą częsteczkę Krakowa...

FeLieTon

Fobia Ludzi Trudnych

- 22 Nasza obrona przed inwazją reklam
- 23 GHB, czyli „pigulka gwałtu”

redaktor naczelny	Bartłomiej Misiniec
zastępca redaktora naczelnego	Szymon Wróbel
redakcja	Iga Bałos Iwona Faron Grzegorz Makuch Joanna Oparcik Agnieszka Prostań Magdalena Zakrzewska Anna Zielińska Mateusz Płocica Bartosz Walat Maciej Pietrzyk
zdjęcia	Mirosław Żak

dtp i okładka	Mateusz Janusz (hussars.pl)
adres do korespondencji	mixer_ksw@interia.eu
druk	Drukarnia Leyko tel. 012 656 44 87
nakład	2000 egzemplarzy
opieka redaktorska	Maciej Malinowski (Wydział Politologii i Komunikacji Społecznej)

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.



Bartłomiej Misiniec redaktor naczelny

Apéritif

W tym numerze jako temat z okładki przedstawiamy rozmowę z pisarzem, Sławomirem Shutym. Pochodzący z Nowej Huty artysta uczynił ją głównym tłem swych działań i przyczynił się do nadania polskiej sztuce jaskrawego charakteru. O tym, dlaczego młodzi są niewygodni i budzą strach swoją bezkompromisowością, przeczytacie w wywiadzie Bartosza Walata.

Na str. 8-9 warto zapoznać się z zasadami kwalifikacji na wyjazdy zagraniczne w ramach programu LLP-ERASMUS 2008/2009. Studenci Krakowskiej Szkoły Wyższej mogą kontynuować naukę na 19 uczelniach zagranicznych. Pierwsze spotkanie informacyjne już **18 marca (we wtorek) 2008 r. o godz. 13.00**.

W dziale PoWaGa mowa m.in. o nowych zasadach przyznawania stypendiów na naszej uczelni, a także o rozwijającej się współpracy samorządu KSW z AEGEE Kraków. W imieniu młodych rodziców, a jednocześnie studentów AGH, zwracamy się też z apelem o pomoc dla ich córeczki, która ma wrodzoną wadę serca. Więcej na str. 5.

Rok miniony był „Rokiem Stanisława Wyspiańskiego” i zdecydowaliśmy się na jego podsumowanie. Zapraszam do lektury artykułu Joasi Oparcik – „Impreza na miarę miasta europejskiego XXI w.”

W dziale KUMulus znajdziecie wreszcie rozmowę z dyrektorem zaprzyjaźnionego z nami Teatru KTO – Jerzym Zoniem, którego energia, otwartość w kontaktach i uśmiech ujęły Mateusza Płocicę.

Na koniec pragniemy zwrócić waszą uwagę na coraz częściej pojawiający się w polskich klubach narkotyk. Bezwonna i bezbarwna „pigulka gwałtu”, czyli GHB, okazała się na tyle niebezpieczna, iż na małopolskich uczelniach rozpoczęto akcję „Pilnuj drinka”. Tak więc, aby nie paść ofiarą GHB, pamiętaj – „łocz jor drink”!!! ■

Dla kogo? i za co? czyli studencka perspektywa na stypendia

W semestrze letnim obowiązywać będzie nieco zmodyfikowana formuła przyznawania stypendiów. Nadszedł czas, by zapoznać się z jej zasadami

Bartosz Walat

Od semestru letniego roku akademickiego 2007/2008 regulamin ustalania wysokości, przyznawania i wypłacania świadczeń pomocy materialnej dla studentów Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego uległ zmianie. Nową formułę uzyskały również wzory zaświadczeń wymaganych w postępowaniu o przyznanie przynależnych nam środków.

Rozległy temat poszczególnych specyfik i charakterów, na mocy których możemy ubiegać się o wspomagające dofinansowania, jest na tyle istotny, że należałoby przyjrzeć się wymogom obowiązującym podczas przyznawania zarówno stypendiów naukowych, jak i tych o istocie socjalnej, żywieniowej, a także mieszkaniowej.

W treści rozporządzenia możemy znaleźć wiele znaczących wskazówek ułatwiających właściwe dopełnienie wymaganych formalności. Należy pamiętać, że student, który studiuje jednocześnie

nie na więcej niż jednym kierunku, może otrzymywać każdy z różnorodnych form pomocy finansowej, ale tylko na jednym fakultecie według swojego wyboru. Ważnych jest jednak o wiele więcej aspektów, choćby fakt, że wniosek złożony bez zachowania wymaganego formularza pozostawia się bez rozpoznania.

Trudna sytuacja materialna uprawnia do pieniężnego wsparcia przyznawanego na bazie przeciętnego miesięcznego dochodu na osobę w rodzinie studenta, uzyskanego w roku kalendarzowym poprzedzającym rok, w którym student się o nie ubiega. Wysokość tego dochodu w danym semestrze ustalana jest przez rektora w porozumieniu z Zarządem Rady Uczelnianej Samorządu Studentów. Wysokość wypłat w ubiegłym semestrze wynosiła miesięcznie 150 zł z tytułu socjalnego, 100 zł na cele żywieniowe i 150 zł na dopłaty do wynajmu mieszkania.

Stypendia za wyniki w nauce przyznawane są w przeciwieństwie do świadczeń socjalnych z urzędu. Średnia ocen, której osiągnięcie uprawnia do ubie-

gania się o nie, oscyluje zazwyczaj wokół 4,4. Warto śledzić przywołany pułap, a także terminy i wysokość wypłat, które w rozporządzeniach rektora Krakowskiej Szkoły Wyższej są cyklicznie określone. W odniesieniu do semestru zimowego ich wysokość wyniosła 275 zł.

Ważnym elementem są również stypendia przydzielane ze względu na niepełnosprawność. Czynione jest to na podstawie specjalistycznych zaświadczeń o jego stopniu i w związku z nim określana jest wysokość należitych wypłat. (zazwyczaj 100-300 zł. miesięcznie)

Regulamin dotyczący tego tematu przewiduje wiele wyjątków i skłania do jednostkowych analiz, dlatego też zachęcam do osobistego zapoznania się z jego ustaleniami. Pełną treść rozporządzeń regulujących w szczególności przyznawanie stypendiów możecie znaleźć na internetowej stronie Krakowskiej Szkoły Wyższej (www.ksw.edu.pl). Oprócz teoretycznych wskazówek znajdziecie tam wzory gotowych wniosków, które w pełni obrazują właściwą formę deklaracji. ■

Mają córeczkę z poważną wadą serca

Pomóżmy młodym rodzicom, studentom AGH

Joanna Oparcik

Pojawienie się dwóch słynnych, wręcz archetypicznych, niebieskich kresek na teście ciążowym dla par starających się o dziecko jest wielkim szczęściem i ulgą. Dla tych, których to zaskoczyło, po pierwszym szoku także staje się jednym z najważniejszych radosnych chwil wspólnego życia, wypominanych po latach z nostalgią i rozbawieniem. Ale w sytuacji, kiedy młodzi rodzice dowiadują się, że ich jeszcze nienarodzone dziecko jest poważnie chore, moment ten zostaje przysłonięty przez strach i niepewność co do przyszłości. Uczucia jakich nikt nie powinien doświadczyć.

Chcę zwrócić waszą uwagę na historię pary studentów AWF (Justyny Grodzik i Michała Rembiasza). Jako przyszli rodzice, musieli stawić czoła sytuacji, jaka przerosła by wielu. Pomimo młodego wieku zdecydowali się w 2007 r. założyć razem rodzinę. Tym większe zapewne było ich szczęście, kiedy szybko okazało się, że marzenia się spełniają. Niestety, wkrótce dowiedzieli się, że oczekiwane przez nich dziecko ma wrodzoną wadę serca – HLHS (Hypoplastic Left Heart Syndrome).

Nie chcę was tu zanudzać medyczną terminologią, bo nie w tym rzecz. Wystarczy pokrótce napisać, że Zespół Niedorozwoju Lewego Serca należy do grupy wad, które możemy określić mianem serc jednokomorowych. Ponieważ HLHS jest bardzo poważną i złożoną wadą, nie można podać ścisłego, jednorodnego jej opisu. W każdym przypadku niedorozwój lewej komory połączony jest z innymi defektami, a sama wada stanowi wielkie zagrożenie dla małego serca, gdyż lewa komora serca – odpowiedzialna za pompowanie krwi do organizmu (motor serca) – jest całkowicie do tego niezdolna.

Bez interwencji chirurgicznej w przeważającej liczbie przypadków dochodzi do śmierci w pierwszych dniach po urodzeniu. Właśnie ta wysoka umieralność jest tak szokująca. W Polsce rocznie pojawia się około 75 takich przypadków.



Justyna Grodzik i Michał Rembiasz nie tracą nadziei...

Leczenie HLHS odbywa się w trzech etapach przez pierwsze lata życia dziecka, co jak nietrudno się domyślić, wiąże się z ogromnymi kosztami – w wypadku opisanego tu dwójki zupełnie abstrakcyjnymi i niemożliwymi do samodzielnego uzbierania (więcej informacji o konkretnych kosztach na stronie, której link podaję na końcu artykułu).

W związku z tym prosimy was o pomoc. Każde wsparcie finansowe, nawet najmniejsza kwota, będzie pomocne. Po przykładach akcji wielkich, jak choćby Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, możemy zobaczyć, że nawet drobne kwoty wpłacane masowo stają się ogromnym źródłem środków zdolnych pomóc tym, którzy tego najbardziej potrzebują (ja osobiście nie wyobrażam sobie istoty bardziej zależnej od innych, jak właśnie niemowlak). Jeśli chcecie zrobić dobry uczynek, wpłaćcie pieniądze na konto lub w inny sposób wesprzycie tę akcję!!!

Strona przygotowana przez rodziców, będąca zarazem zapisem codziennej prywatnej walki, jest świetnym źródłem informacji – znajdziecie tutaj nie tylko

dokładne odnośniki do opisu tej trudnej choroby, ale także linki do historii wybitnego polskiego chirurga – profesora Malca, którego historia jest mniej lub bardziej związana z rodzinami dotkniętymi tą chorobą; linki do aukcji Allegro, poprzez które nie wychodząc z domu, możemy wesprzeć trójkę bohaterów; adresy kontaktowe przydatne, jeśli wolimy zamiast aukcji wesprzeć akcje poprzez 1 proc. podatku.

Dlatego będąc kolejny raz w okolicach Starego Miasta (choć nie tylko tam), rozejrzyjcie się – wiele klubów, pubów i kawiarni wystawiło puszkę, do której można wrzucać pieniądze, choćby resztę, która nam została po zakupie ukochanego espresso. ■

POLECAM WASZEJ UWADZE DWIE WAŻNE STRONY :

Pierwsza to strona – blog opisanego dwójki: <http://sercewiktoria.blog.onet.pl>

Druga to strona fundacji zajmującej się wieloma wadami i chorobami serca u małych pacjentów, gdzie możecie uzyskać wszelkie niezbędne informacje: <http://www.sercedziecka.org.pl>

Od 1980 r. żadne igrzyska nie wzbudzały tylu kontrowersji, co tegoroczne, rozgrywane latem w stolicy Chin. Trudno sobie wyobrazić, żeby mogły być one realnym urzeczywistnieniem braterstwa i pokoju.

Nie będzie to olimpiada zgody...

Maciej Pietrzyk

Ibi *semper victoria, ubi concordia est*, czyli 'tam zawsze zwycięstwo, gdzie jest zgoda'. Te słowa najpełniej obrazują ideę igrzysk organizowanych w starożytnej Grecji. „Święty pokój” polegający na zwieszeniu wszelkich wojen podczas trwania współzawodnictwa jednoczył Greków. W Helladzie trwało święto, które nie znało oprawców i ofiar, zdobywających i podbitych, mordujących i mordowanych. Liczyło się tylko *citius, fortis, altius*, czyli 'szybciej, wyżej, mocniej'. Idea szlachetnego współzawodnictwa i braterstwa nadawała zawodom wymiar duchowy. Zwycięzca nie musiał być najlepszym sportowcem, ale zawsze stawał się bohaterem, wybrańcem bogów. Igrzysk nie traktowano jedynie jako zawodów sportowych, ale przede wszystkim namacalną wizję lepszego, upragnionego świata.

Nowożytnie igrzyska odwołują się do najlepszych tradycji greckich, jednak nie zawsze dało się je w pełni urzeczy-

wistniać. Trzykrotnie, w latach 1916, 1940 i 1944, to nie konflikty zawieszano na czas zawodów, lecz zawody na czas konfliktów. W 1980 r. w Moskwie świętego pokoju również nie było. Duch sportowej rywalizacji osłabiony został wskutek sytuacji politycznej, a zwłaszcza pogłębiania się zimnej wojny. Zasada *citius, fortis, altius* odnosiła się bardziej do rywalizacji między dwoma mocarstwami niż do zawodów sportowych.

Od 1980 r. żadne igrzyska olimpijskie nie wzbudzały tylu kontrowersji, co tegoroczne, rozgrywane latem w stolicy Chin. Trudno sobie wyobrazić, żeby mogły być one realnym urzeczywistnieniem braterstwa i pokoju. Cały świat ze wzmożoną atencją przygląda się przygotowaniom Państwa Środka do Olimpiady. Obrońcy praw człowieka, ekologów i organizacje broniące zwierząt regularnie publikują zatrważające raporty z przygotowań tego kraju do olimpiady.

W Chinach można zostać skazanym na karę śmierci za poglądy polityczne, chuligaństwo, oszustwa finansowe itp. Wyroki wydawane są po półgodzinnych procesach, bez prawa do obrony. Egzekucję bardzo często wykonuje się na stadionach w obecności publiczności. Kraj ten jest światowym liderem w produkcji futer z zabijanych w okrutny sposób zwierząt, a intensywna gospodarka – przyczyną wielu katastrof ekologicznych. Trudno przypuszczać, że na stadionach, na których morduje się ludzi, będzie się unosił duch sportu. Zamiast tego trzeba się liczyć ze skandalami i kontrowersjami.

Igrzyska olimpijskie w Pekinie nie będą świętem, szlachetną rywalizacją i braterstwem pod nimbem pokoju. Pozostaną jedynie zawodami sportowymi reklamowanymi znakiem pięciu kół i na pewno nie przywołają wizji czystej rywalizacji, znanej z czasów starożytnych. Nie będzie to olimpiada zgody, nie będzie to tym bardziej olimpiada zwycięstwa... ■

Samorząd Studencki KSW i AEGEE Kraków

Wspólne projekty i wyzwania

Od lutego 2008 r. trwają rozmowy pomiędzy Samorządem Studenckim i AEGEE Kraków na temat współpracy przy realizowaniu idei promowania wartości praw człowieka, wymiany międzynarodowej oraz dokształcania się studentów. Efektem tych rozmów jest podjęcie decyzji o dołączeniu naszego Samorządu do organizacji Symulacji Obrad Rady Bezpieczeństwa ONZ, których tytuł brzmi: „Konflikt w tureckim Kurdystanie – problem Turcji, Bliskiego

Wschodu czy społeczności globalnej?”. To niezwykle ciekawe wydarzenie odbędzie się w dniach 16-17 marca w auli KSW przy ul. Starowiślniej 16.

Podczas dwudniowej symulacji uczestnicy wcielą się w rolę delegatów państw-członków Rady Bezpieczeństwa ONZ, obradujących nad sytuacją mniejszości kurdyjskiej w Turcji. Ich zadaniem będzie uchwalenie rezolucji zgodnej z ideami praw człowieka i pokojowego rozwiązywania konfliktów, a jednocześnie zgodnej z interesami reprezentowa-

nych przez nich krajów. W tym celu będą obradować w sposób zgodny z regulaminem Rady Bezpieczeństwa, korzystając z zaproponowanych przez organizatorów technik negocjacyjnych.

Wszystkich zainteresowanych uczestnictwem oraz bliższymi informacjami zapraszamy do odwiedzenia strony Samorządu www.samorzad.ksw.edu.pl oraz AEGEE Kraków www.aegEE.krakow.pl.

Marek Barański

Przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Samorządu Studentów KSW

XIV Krajowa Konferencja Tematyczna Parlamentu Studentów RP

Temat: odpłatność za studia

W dniach 22-24 lutego 2008 r. reprezentanci Samorządu Studenckiego KSW: **Dariusz Ptaszek**, przewodniczący Zarządu Samorządu Studentów; **Dawid Czupik**, przewodniczący Uczelnianej Rady Samorządu Studentów, i **Marek Barański**, przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych, wzięli udział w *XIV Krajowej Konferencji Tematycznej Parlamentu Studentów RP* poświęconej kwestii odpłatności za studia.

W konferencji, oprócz Parlamentu Studentów RP oraz przedstawicieli wszystkich najważniejszych Samorządów Studenckich w Polsce, wzięli udział profesorowie: **Jerzy Błażejowski**, przewodniczący Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, **Jerzy Woźnicki**, prezes Fundacji Rektorów Polskich, **Jerzy Maliec**, przewodniczący Konferencji Rektorów Zawodowych Szkół Wyższych, **Witold Jurek**, przewodniczący Konferencji Rektorów Uczelni Ekonomicznych, oraz **Paweł Pachura**, przedstawiciel Krajowej Reprezentacji Doktorantów.

Obrady pokazały, jak wielki rozdźwięk występuje w samym środowisku studenckim, jak wiele sprzecznych stanowisk i opinii mają Samorzady Studentów. Dlatego uważamy, iż stanowisko Parlamentu Studentów, a co za tym idzie – wszystkich studentów Polski jest niezwykle ważnym kompromisem okupionym wieloma godzinami dyskusji i sporów, które *de facto* otwiera drogę

do współpłacenia za studia przez wszystkich studentów.

Oto stanowisko Parlamentu Studentów na temat odpłatności za studia:

Głównym sposobem poprawy jakości kształcenia i efektywności wydatkowania publicznych środków jest **zwiększenie podmiotowości studenta**.

Osią konstrukcyjną wszelkich zmian w finansowaniu szkolnictwa wyższego powinno być **kierowanie środków publicznych w różnych formach do studenta, a dopiero poprzez jego decyzje – pośrednio – na uczelnie**. Jedynie taki mechanizm zmusi je do realnego zabiegania o studenta poprzez jakość oferowanego kształcenia. W przeciwnym wypadku uczelnie nadal będą dbały bardziej o przychyłność polityków – bo to oznacza dostęp do publicznych funduszy – niż o studenta – bo to przecież dydaktyczne wyzwanie i organizacyjny kłopot.

Aby stworzyć uczelniom warunki do konkurowania jakością oferty, **niezbędne jest:**

1. uwolnienie ich z gorsetu wymogów formalnoprawnych, których wpływ na jakość kształcenia jest nieskuteczny;
2. usprawnienie systemu pomocy materialnej;
3. wprowadzenie szczegółowych umów cywilnoprawnych z uczelniami dla wszystkich studentów – jedynie odpowiedzialność materialna za podjęte

zobowiązania skłoni uczelnie do ich wypełniania, a studenta do rozważa przy wyborze kierunku studiów

Wraz z Krajową Reprezentacją Doktorantów (wspólne stanowisko z października 2007 r.) podkreślamy, że *nie możemy podzielić stanowiska, iż opłaty za studia są niezbędnym elementem finansowego wsparcia uczelni. W pierwszej kolejności rozważyć trzeba, czy środki znajdujące się obecnie w systemie, w tym możliwe do pozyskania w ramach środków europejskich, są racjonalnie wykorzystywane. Koszty niedomagania systemu szkolnictwa wyższego nie mogą być zrzucane na barki studentów.*

To głównie w interesie studentów jest kształcić się dobrze i za konkurencyjną cenę. Jesteśmy otwarci na poważną dyskusję o niezbędnej reformie finansowania studiów, ale sprzeciwiamy się takiemu jej postrzeganiu, które oznacza wyłożenie dodatkowych środków przez studenta bez zmiany sposobu wykorzystywania środków obecnie zasilających kształcenie i bez zmian organizacji i zarządzania uczelniami te środki otrzymującymi. **Wprowadzenie dodatkowego zasilania opłatami z kieszeni studenta bez zmian w funkcjonowaniu uczelni nie poprawi automatycznie konkurencyjności instytucji szkolnictwa wyższego, może wręcz utrwalać jego nieefektywne mechanizmy.**

Marek Barański
przewodniczący Komisji Spraw
Zagranicznych Samorządu Studentów KSW



LLP – „ERASMUS” 2008/2009 WYJAZDY ZAGRANICZNE STUDENTÓW KRAKOWSKIEJ SZKOŁY WYŻSZEJ IM. ANDRZEJA FRYCZA MODRZEWSKIEGO

Poniżej przedstawione zostały zasady rekrutacji na wyjazdy w ramach programu LLP-Erasmus w roku akademickim 2008/2009. Wyjazdy do zagranicznych uczelni partnerskich Krakowskiej Szkoły Wyższej umożliwiają podjęcie studiów od 3 miesięcy do 1 roku akademickiego.

Osoby, chcące wziąć udział w programie, powinny złożyć w Dziale Współpracy Międzynarodowej (ul. Kanonicza 9) kwestionariusz zgłoszeniowy z dołączonym do niego oświadczeniem (dostępny na stronie internetowej w części poświęconej współpracy międzynarodowej). **Podczas wyboru uczelni zagranicznych, w których kandydaci planują podjąć studia, z listy partnerów w ramach programu „Erasmus” należy uwzględnić dziedzinę współpracy oraz język wykładowy.**

Harmonogram procesu kwalifikacji:

18 marca (wtorek) 2008 r., godz. 13:00 – spotkanie informacyjne (sala 202, ul. G. H.-Grudzińskiego 1)
7 kwietnia 2008 r. – ostateczny termin składania kwestionariuszy zgłoszeniowych i oświadczeń
do 9 maja 2008 r. – ogłoszenie listy osób zakwalifikowanych
do 25 maja 2008 r. – składanie dokumentów wymaganych przez uczelnie zagraniczne
18 czerwca 2007 r. – potwierdzenie akceptacji przez uczelnię zagraniczną.

Komisja kwalifikacyjna:

Prorektor Krakowskiej Szkoły Wyższej – prof. dr hab. **Barbara Stoczewska**
Dziekan/Prodziekan kierunku/specjalności
Uczelniany Koordynator Programu LLP-Erasmus – mgr **Jerzy Marcinkowski**
Sekretarz Komisji – mgr **Joanna Skrzypiec**

Kryteria kwalifikacji obejmują:

- spełnienie wymogów formalnych
- znajomość języków obcych (maksymalnie 10 punktów)
- średnią ocen (maksymalnie 14 punktów)
- uzasadnienie wyjazdu (opisane w Kwestionariuszu Zgłoszeniowym – maksymalnie 5 punktów))
- pomoc w inicjatywach realizowanych przez Dział Współpracy Międzynarodowej (maksymalnie 6 punktów)
- działalność na rzecz uczelni np.: w kołach naukowych (maksymalnie 6 punktów)
- uczestnictwo w wykładach w językach obcych w KSW (do Kwestionariusza Zgłoszeniowego należy dołączyć potwierdzenie uczestnictwa podpisane przez prowadzącego – maksymalnie 6 punktów)

Uczelniany Koordynator
Programu LLP-Erasmus
(-) mgr **Jerzy Marcinkowski**

Uczelnie partnerskie, z którymi Krakowska Szkoła Wyższa współpracuje i w których można studiować w ramach programu LLP- ERASMUS 2008/2009

L.P.	Uczelnia	Dziedziny współpracy	Język wykładowy
1.	Hochschule Harz – Hochschule für angewandte Wissenschaften, <u>Niemcy</u> D WERNIGE01	administracja publiczna, zarządzanie i marketing, turystyka międzynarodowa	niemiecki
2.	Fachhochschule Ludwigshafen am Rhein-Hochschule für Wirtschaft, <u>Niemcy</u> D LUDWIGH01	zarządzanie i marketing	niemiecki, angielski
3.	Evangelische Fachhochschule Berlin, <u>Niemcy</u> D BERLIN10	praca socjalna, zarządzanie i marketing	niemiecki
4.	Högskolan Dalarna, Falun, <u>Szwecja</u> S FALUN01	politologia, komunikacja społeczna	szwedzki, angielski
5.	Kymenlaakson Ammattikorkeakoulu, <u>Finlandia</u> SF KOTKA06	nauki o rodzinie	fiński, angielski
6.	Fachhochschule St. Pölten, <u>Austria</u> A ST-POLT03	komunikacja społeczna	niemiecki
7.	Università degli Studi del Molise, <u>Włochy</u> I CAMPOBA01	praca socjalna turystyka, politologia	włoski
8.	Kodolányi János Főiskola, Szekesfehervar, <u>Węgry</u> HU SZVAR01	turystyka, komunikacja społeczna, stosunki międzynarodowe	węgierski, angielski
9.	Universite Jean Monnet, Saint –Etienne, <u>Francja</u> F ST-ETIE01	zarządzanie i marketing	francuski
10.	Universite de la Mediterranee, Marseille, <u>Francja</u> F MARSEIL02	administracja publiczna	francuski
11.	University of Plovdiv Paisii Hilendarski, <u>Bulgaria</u> BG PLOVDIV04	prawo	bułgarski
12.	University of Hull, <u>Anglia, UK</u> HULL01	politologia	angielski
13.	Nyiregyhaza Főiskola, <u>Węgry</u> , HU NYIREGY04	marketing i zarządzanie	węgierski, angielski
14.	Radboud Universiteit Nijmegen, <u>Holandia</u> NL NIJMEGE01	politologia, stosunki międzynarodowe	holenderski, angielski
15.	Hochschule Bremen, <u>Niemcy</u>	architektura	niemiecki
16.	Universidad Publica De Navarra, <u>Hiszpania</u> E PAMPLON02	prawo	hiszpański
17.	Universidad del Pais Vasco, <u>Hiszpania</u> E BILBAO01	prawo	hiszpański
18.	University of Primorska, <u>Słowenia</u> SI KOPER03	filologia, nauki społeczne, sztuki piękne	słoweński
19.	Napier University Business School, <u>Szkocja</u> UK EDINBUR09	handel zagraniczny, marketing i zarządzanie	angielski

LLP-ERASMUS 2008/2009 SPOTKANIE INFORMACYJNE

18 marca 2008 r. (wtorek) o godz. 13 (Kampus KSW – sala 202, budynek A; ul. G. H.-Grudzińskiego 1) odbędzie się spotkanie informacyjne, podczas którego przedstawione zostaną zasady wyjazdów stypendialnych w ramach programu LLP-„Erasmus”. Spotkanie będzie głównie skierowane do studentów Wydziałów Nauk o Rodzinie, Politologii i Komunikacji Społecznej, Prawa i Administracji, Marketingu i Zarządzania, Architektury i Sztuk Pięknych oraz Stosunków Międzynarodowych. Dodatkowe informacje znajdują się na plakatach oraz na stronie internetowej <http://ksw.edu.pl/> (zakładka Współpraca Międzynarodowa).

SERDECZNIE ZAPRASZAMY!!!

Uczelniany Koordynator
Programu Erasmus
(-) mgr Jerzy Marcinkowski

„Rok Stanisława Wyspiańskiego” – czas na podsumowanie

Impreza na miarę miasta europejskiego XXI w.

Joanna Oparcik

Obachody stuleci śmierci/urodzin/ czy jubileuszy wydań dzieł wielkich artystów (*niepotrzebne skreślić*) zawsze są dla organizatora wyzwaniem. Nie tylko jeśli chodzi o tematykę – kiedy staje się przed trudem wyboru przykładów dzieł, ale też pod względem tzw. formy – kiedy musimy wziąć pod uwagę, jak przedstawimy zgromadzony i wyznaczony z takim trudem zbiór.

Tym większe jest to wyzwanie, jeśli organizatorem ma być miasto, a odbiorcą szeroko rozumiani mieszkańcy i turyści. Nie ma bowiem nic trudniejszego niż próba przełożenia sztuki w formę możliwą do odbioru dla szerszej publiczności bez pomniejszania dokonania artysty i bez upraszczania jego dorobku.

Chciałabym się bliżej przyjrzeć imprezie, która towarzyszyła naszemu miastu przez ostatnich kilka miesięcy, a która bez wątpienia jest wciąż aktualna (przez trwające nadal wydarzenia towarzyszące). Myślę o kończącym się właśnie *Roku Stanisława Wyspiańskiego*. Czy podejmując ogrom pracy przy organizowaniu obchodów stulecia śmierci tego niezwykłego, wręcz renesansowego artysty, miasto poradziło sobie z wyżej wymienionymi problemami?

Problem Krakowa jako miasta organizatora wiąże się zawsze z niezwykle skłonnością do pewnej, no cóż, powiedzmy to sobie otwarcie, pompatyczności, często zmierzającej ku zaściankowości i chęci nadania wszystkiemu „krakowskiego ducha”. Każde targi, święta, obchody rocznicowe przyprawiają mnie o lekkie drżenie serca – czy tym razem moje miasto w końcu sprostą, pozbędzie się denerwującej manieri wciskania wszędzie prymitywnej, ale jakże lubianej

przez urzędników i tytułowanej „tradycją krakowską” formy – dla mnie będącą po prostu zwykłą cepeliadą?

Czy w końcu Kraków zorganizuje coś na miarę miasta europejskiego XXI wieku, do którego miana tak dzielnie aspiruje? Myślę, że tym razem udało się stworzyć coś na kształt nowoczesnej imprezy w formie zarówno organizacyjnej, jak i artystycznej.

Zapewne dla większości obchodzony w Krakowie *Rok Wyspiańskiego* będzie się kojarzył ze wspaniałą wystawą (wciąż trwającą – tylko do 2 marca) w Muzeum Narodowym pt. „*Stanisława Wyspiańskiego Teatr Ogromny*”. To multimedialne dzieło będące swoistym eksperymentem, korzystającym z najnowocześniejszych środków przekazu multimedialnego, zapisze się jako wielkie wydarzenie, które odniosło spektakularny sukces. Wystawa, korzystając z nagrań dźwiękowych, słownych i filmowych, a także prezentacji komputerowych – nie tylko pozwoliła na zebranie i podsumowanie wszelkich form artystycznej ekspresji mistrza, ale też je uzupełnienia i komentuje.

Muzeum po pierwszej, trwającej od kwietnia do września 2007 r. („*Zielnik Wyspiańskiego*”), zaprezentuje w sumie trzy główne wystawy. Oprócz „*Zielnika*” omawiany tu „*Teatr Ogromny*”, a także trwająca od grudnia 2007 r. do marca tego roku wystawę pt. „*Sami złożycie stos. Pogrzeb Stanisława Wyspiańskiego*”. „*Teatr Ogromny*” zadziwia i zachwyca. Jest to niesamowita wystawa, wręcz samodzielna inscenizacja. Podzielona na siedem sfer działalności, każda podpisana cytata z dzieł Wyspiańskiego (od popularnego „*Wesela*” poprzez „*Wyzwolenie*”, „*Noc Listopadową*” aż do „*Legendy I*”), prezentuje niezwykle świat, po-

zwala wejść głębiej w działalność artysty, który dla wielu wciąż kojarzy się tylko z omawianym często z niechęcią „szkolnym” „*Weselem*”.

Na pewno miłym zaskoczeniem była obecność nie tylko z góry narzucanych przez miasto inicjatyw, ale także pomniejszych, często skromne w formie, prywatne wydarzenia towarzyszące obchodom. I to jest zapewne jednym z największych plusów owych uroczystości – po raz pierwszy chyba w historii miasta jakieś obchody połączyły warstwę przygotowaną przez urzędników i pomniejsze, często spontaniczne wydarzenia.

Od ogólnopolskich konferencji („*Żywioty wyobraźni Stanisława Wyspiańskiego*” czy „*Stanisław Wyspiański. W labiryncie świata, myśli i sztuki*”) poprzez wystawy okolicznościowe zarówno jednostek wielkich (Muzeum Narodowe) i oficjalnych (Bunkier Sztuki), jak i pomniejszych galerii aż do spektakli młodych twórców PWST i „starych wyjadaczy” na deskach licznych scen teatralnych... kalendarz imprez był pełen ciekawych wydarzeń, wręcz trudno było się zdecydować, co wybrać.

Mieliśmy okazję obejrzeć wiele interesujących przedstawień, wymienimy chociażby realizację „*Kłatwy*” Barbary Wysockiej na deskach Narodowego Starego Teatru (gdzie autorka realizuje temat w formie policyjnej wizji lokalnej), wielokrotnie nagradzanych „*Sędziów*” w reżyserii Jerzego Grzegorzewskiego z Teatru Narodowego (Scena Kameralna Starego Teatru) czy nowatorskie i multimedialne „*Odpoczywanie*” Pawła Passiniego w Łażni Nowej (w ramach festiwalu „*Wyspiański wyzwala – historia losów dzieci mistrza, nie będąca jednak zwykłą biografią*”).

Kraków od spodu

Drugą ważną zmianą okazał się sposób podejścia do tematu. Nie były to „wykopaliska” z Wyspiańskiego – nienaruszalny i pompatycznie przypominany bohater narodowy. Chodziło raczej o dyskusję nad Wyspiańskim i z Wyspiańskim, często podjęcie sprzecznej z „duchem narodowym” polemiki. Jak się okazało, pomimo kilku wpadek większość twórców ciekawie i obronną ręką wyszła z tego boju.

Podsumowanie, skomentowanie i prezentacja utworów artysty tak wszechstronnego zapewne nie należały do łatwych. Tym trudniejsze wydaje się to zadanie, jeśli zauważymy, że miasto ambitnie postawiło nie tylko na odkurzenie utworów, ale także podjęcie dyskusji z tymi dziełami, potraktowanie ich jako inspiracji dla owych pochodnych imprez, wystaw i prezentacji. Wspaniale jest również to, że o ile po wydarzeniach pozostaną nam tylko wspomnienia tu-dzież zapisy medialne (artykuły i programy telewizyjne), o tyle miasto ofiarowało nam też coś bardziej namacalnego, np. pawilon Wyspiańskiego – miejsce odznaczające się wyjątkową, choć zapewne dla bardziej konserwatywnych mieszkańców Krakowa kontrowersyjną architekturą i ciekawym rozwiązaniem Andrzeja Wajdy co do prezentacji wspaniałych witraży (których sam mistrz nie zdążył lub nie zdołał wykonać).

Pawilon ze swoją spokojną, nastrojową muzyką i nierzucającym się w oczy wystrojem wewnątrz sprzyja kontemplacji. Będąc w okolicach ul. Grodzkiej, nigdy nie odpuszczam okazji, żeby się choć na chwilę przyjrzeć monumentalnym, wysokim na kilka metrów szklanym obrazom.

Choć wystawy w Muzeum Narodowym kończą się w marcu 2008 r., to jednak jeszcze w późniejszych tygodniach będziemy się mogli zaznajomić ze spuścizną Stanisława Wyspiańskiego. Bunkier Sztuki, chcąc ambitnie połączyć mijające obchody ze sztuką współczesną, organizuje od 28 marca aż do 5 maja br. wystawę pt. „OK! WYSPIAŃSKI”, na której zostaną zaprezentowane współczesne formy, w zamierzeniu kuratorów i organizatorów mające nawiązać dialog z dziełami mistrza.

Do projektu zostało zaproszonych dziesięcioro artystów (m.in. Edward Dwurnik, Jadwiga Sawicka, Oskar Dawicki czy Łukasz Skąpski). Wielomedialna



Ryc. Stanisław Wyspiański „Dziewczynka gasząca świecę”, 1893, olej na płótnie, 65 x 46 cm, Muzeum Narodowe, Warszawa

prezentacja zorganizowana przez Bunkier Sztuki będzie eksponowana dwukrotnie: najpierw w przestrzeniach Muzeum Stanisława Wyspiańskiego w Kamienicy Szolayskich (częściowo w galerii wystaw zmiennych, częściowo w obrębie ekspozycji stałej), następnie w Galerii Sztuki Współczesnej Bunkier Sztuki.

Tym, co po całym roku obchodów stulecia śmierci Stanisława Wyspiańskiego widać najwyraźniej, jest intensywność jego życia i pracy. Wciąż poszukiwał, drążył, próbował wyrazić siebie na nowo w kolejnych projektach i formach.

I jak sam był artystą złożonym i niezwykle twórczym, tak trudne do realizacji były te obchody. Myślę jednak, że tym razem większość wydarzeń spełniła oczekiwania zarówno masowego odbiorcy, jak i specjalistów poszczególnych dziedzin, łącząc umiejętnie propagowanie działalności mistrza z oryginalnymi i często nowatorskimi środkami ekspresji artystycznej. Mam nadzieję, że kolejne organizowane przez nasze miasto wydarzenia kulturalne podtrzymają tę „nową tradycję”, kontynuując trend na tak wysokim poziomie. ■

anty_koncepcja tandety

W ciągu ostatnich lat pojawili się twórcy, którzy dzięki specyfice swych wizji przyczynili się do nadania bezwzględnie jaskrawego charakteru polskiej sztuce. Głównym przedstawicielem nurtu przewartościowań jest SŁAWOMIR SHUTY. Artysta pochodzący z Nowej Huty głównym tłem swych działań uczynił właśnie jej specyfikę. Warto się przyjrzeć, jak kilka lat po debiucie odnajduje się w tandetnych czasach polskich bzdurności.

Młodzi są zawsze niewygodni...

- W przeróżnych publikacjach na twój temat można dostrzec, jak środowisko dziennikarskie prześciga się w przypisywaniu ci rozmaitych profesji. Czym naprawdę zajmuje się Sławomir Shuty?

- Różnymi rzeczami. W wyniku tego, że bywam w wielu miejscach i uczestniczę w szeregu projektach, odpowiedź nie jest prosta. Generalnie skupiam się na szeroko rozumianym wyrażaniu siebie poprzez sztukę. Początkowo dotyczyło to jedynie literatury, obecnie trudnię się zarówno filmem, jak i malarstwem, ostatnio zrobiliśmy z Danielem Rycharskim wystawę „Dożynki III”, można sobie na to popatrzeć na stronie www.grupaduet.pl

- To twórcze ewoluowanie wynika ze spontaniczności czy po prostu w obecnych realiach konieczne jest poszukiwanie szerokiego spektrum odbiorców?

- Przyznam, że interesuje mnie wiele aspektów twórczej działalności. Od zawsze robiłem zdjęcia, których projekcje od pewnego czasu zacząłem wzbogacać muzyką, tworząc w rezultacie artystyczny slajd-show. Te komiksy fotograficzne stały się właściwie początkiem myślenia o filmie, który w zasadzie bazuje na tym samym zmyśle twórczym. W dodatku obracam się w środowisku osób związa-

nych z filmem. Na początku traktowaliśmy swą działalność amatorsko, jednak z czasem, gdy pojawiły się możliwości i zainteresowanie odbiorców, stale realizujemy nowe projekty. Ostatnio wraz z Basią Kurzaj i Bartkiem Cichońskim popełniliśmy pełnometrażową fabułę „Panoptikon”. Nie ukrywam, że naszym marzeniem jest zrobienie filmu fabularnego w normalnych komfortowych warunkach.

- Znajdujesz na to wszystko czas?

- Malowanie jest dla mnie relaksem. Wcale nie uważam, że należy tworzyć ponadczasowe dzieła o olbrzymiej randze, by nasz czas nie był zmarnowany. Gdy poświęcasz się tej formie ekspresji, przenosisz się do całkiem innego świata, co w obecnych czasach jest raczej bezcenne. Osobiście tworzenie sprawia mi ogromną przyjemność, a dzięki temu, że utrzymuję się z pisania, mogę sobie pozwolić na wszechstronne, twórcze gospodarowanie wolnymi chwilami.

- Komfort, który pozwala ci swobodnie kreować własną inicjatywą, zawdzięczasz dotychczasowym osiągnięciom. Jak wielki wpływ na twoje życie miało szczęście?

- Zainteresowanie moją osobą otworzyło przede mną wiele możliwości.

Po części wynikało to mojej pracy i konsekwencji na pisarskiej ścieżce, po części ze szczęścia. Obecnie jest wiele osób zajmujących się pisarstwem i rzeczywiście, żeby zaistnieć, należy się pojawić w konkretnym miejscu o odpowiedniej porze.

- Czy w czasach medialnych i korporacyjnych wpływów można być twórcą niezależnym?

- Zdecydowanie tak. Nikt nie narzuca mi tematów. Wyjątkami mogą być publikacje w gazetach, które zazwyczaj są wynikiem poruszania jakiegoś skonkretyzowanego problemu, ale również w tym przypadku zawartość merytoryczna jest całkowicie zależna wyłącznie ode mnie. Generalnie jestem całkowicie autonomiczny i nikt nie wymaga, żebym na przykład wyreżyserował komedię romantyczną, bo akurat na to jest zapotrzebowanie. Gdyby pojawiała się taka możliwość zrobiłby to po swojemu.

- Zawdzięczasz to postawie „anty”?

- Nigdy nie uważałem się za „anty” ani też „pro”. Od początku swej działalności po prostu realizowałem swoje pomysły, dreptałem swoją ścieżką.

- Ale przyznasz, że w odbiorze krytyków powieść „Zwał” jest przełomowa i w odróżnieniu od wcześniejszych pub-



Sławomir Shuty: – W młodości uważałem, że świat jest zły i istnieje dla zysku i wyczysku...

likacji nie została okrzyknięta mianem „antyksiążki”...

- To prawda, jednak uważam, że owomiano powinno być przede wszystkim utożsamiane z „Bełkotem”, który już z założenia miał przeczyć powszechnym konwencjom. W związku z obraną tematyką i formą odbiór tej książki może być z definicji skierowany tylko do wąskiego grona czytelników, poszukujących literackich eksperymentów. Tak samo zresztą jest z przypadku „Produktu polskiego”. Realia rynku sprawiają, że do masowej projekcji nadają się tylko artykuły masowego użytku.

- W uzasadnieniu, jakie zostało ogłoszone przed wręczeniem ci „Paszportu »Polityki«” za powieść „Zwał”, padały słowa „za literacki słuch, za pasję i odwagę w portretowaniu polskiej rzeczywistości”. Dużo potrzeba odwagi?

- Ja myślę, że to żadna odwaga (śmiech). Zdziwiłem się w ogóle, że całe to zdarzenie wywołało tak powszechne

zamieszanie. To chyba świadczy o tym, że Polska jest jeszcze totalnym zaściankiem i nikt tak naprawdę nie zna światowej literatury ani jakichkolwiek publikacji, jakie mają miejsce na tamtejszych rynkach wydawniczych.

- Czy ta sama sytuacja ma miejsce w środowisku filmowym?

- Jest gorzej. Choćby pod względem tematów środowisko to plasuje się kilka lat za obecnym stanem literatury. To, co w telewizji zostaje zaprezentowane jako kino polskie, to wynaturzona tandeta. Gdy widzę, w jaki na przykład sposób ukazuje się życie i pracę policji w serialu „Głina”, to nie potrafię zrozumieć, jak po kilkudziesięciu latach od ekranizacji „Rozmowy” Francisca Coppoli można sięgać po tak strywnalizowany obraz. Przecież wystarczy tylko trochę inwencji, żeby móc stworzyć coś naprawdę interesującego. Ewidentnie młoda literatura jest o wiele autentyczniejsza i wszechstronna, niż tak zwane

kino zaangażowane, które na dzień dzisiejszy ogranicza do narzekań i frustracji.

- Może przyczyniła się do tego obecność takich instytucji jak „bru-lion”, „Lampa” „Ha!art”, które już od wielu lat przyczyniają się do kreowania czytelnicznych gustów?

- Zapewne tak. Choć wydaje mi się, że w kwestii kina kluczową rolę odgrywało zacofanie technologiczne. Trzeba przyznać, że jeszcze kilka lat temu była to ekskluzywna forma artystycznej wypowiedzi.

- A co z teatrem? Zarówno „Zwał”, jak i „Cukier w normie” stały się sztukami. Jak oceniasz to, w jaki sposób twoje teksty przeobrazili Bartosz Szydlowski (teatr Łaźnia Nowa) i Emilia Sadowska (Teatr Polski w Poznaniu)?

- Widziałem wyłącznie „Zwał” i wydaje mi się, że jest przyzwoicie opracowany. Na „Cukier...” wybiorę się w tym roku, gdyż podobno mają ponownie wystawić

Temat z okładki

go w Łazni Nowej. Kiedyś próbowałem zająć się teatrem, ale to ciężkie medium, jednak nie wykluczam, że kiedyś spróbuję się z nim zmierzyć. W moim odczuciu to, co się teraz dzieje w tej kwestii, jest wtórne do życia. Epatowanie pornografią i obrazoburstwem – choć w moich ustach to brzmi dziwnie – jest obecne wszędzie i chyba w ogromnej części temat ten został wyeksploatowany.

- Miałeś jakiś wpływ na ostateczną formę owych przedstawień?

- Nie, żadna ingerencja nie była przewidziana. Twórcy zgłosili się do wydawnictwa i otrzymali konieczne pozwolenia.

- Czy możemy się spodziewać w najbliższym czasie jakiejś nowej twojej powieści?

- Już w kwietniu wychodzi książka pt. „Ruchy”. Właściwie wszystkie zdarzenia w niej charakteryzowane dzieją się w umownej czasoprzestrzeni i łączą kilka wątków fabularnych. W dość baśniowej aurze ukazana też została erotyczna sfera życia.

- Nadal opierasz tematy książek na autofikcji?

- Tak, wciąż opieram się na doświadczeniach z własnego życia i na bazie tego rozwijam poszczególne elementy powieści. Chyba nie zaprzestanę tych praktyk. Korzystam z tego, co wydaje mi się najbliższe.

- Z jakimi przeszkodami spotykasz się, gdy zamierzasz opublikować gotowy tekst? I w wyniku tego jak długo to trwa?

- „Ruchy” powstawały trzy lata. Trzeba jednak zaznaczyć, że moja pozycja jest dość ugruntowana i właściwie po skończeniu pisania, o ile książka nie zostanie odrzucona z buta, czeka mnie wyłącznie udział w ewentualnej korekcie redakcyjnej. Proces, jaki czeka debiutanta, bywa trudniejszy. Osobiście nie spotykam się z przypadkiem, żeby wydawca zabronił mi użycia wulgaryzmów czy nakazał wykreślić fragment o krytyce księdza proboszcza. Pierwsza publikacja natomiast jest właściwie losowym wydarzeniem. Nie można w żadnej mierze być pewnym wydawnictw, które z zasady czytają dziesięć pierwszych stron nieznanego nazwiska i wiele musi zająć, żeby w ogóle doczekać etapu ewentualnych korekt.

- Oczywiście prawem rynku zawsze rządzą pieniądze...

- Zdecydowanie. Wydanie i promocja książki debiutanta z reguły się nie opłaca. Taką inicjatywę może podjąć ewentualnie korporacja na miarę „Ha!artu”, który właściwie z istoty zajmuje się wspieraniem młodych pisarzy. W tym przypadku o inicjatywie decydują jednak nie wyłącznie pieniądze, ale w pewnym sensie misja.

- Wypracowanie rozpoznawalnej marki „Sławomir Shuty” daje ci więc poczucie twórczego bezpieczeństwa?

- Właściwie nie poczułem jeszcze tego w pełni. Prawa wolnego rynku są na tyle bezwzględne, że ani w aspekcie finansowym, ani markowym nie mogę jeszcze mówić o bezpieczeństwie. Samo jednak istnienie prawdopodobieństwa, że ktoś zainteresuje się moją działalnością, jest dla mnie pewnym satysfakcjonującym etapem – zagwarantowanym choćby umową z wydawnictwem, które samo kreuje kampanię reklamową i dba o mnóstwo podstawowych kwestii.

- Kiedyś powiedziałeś, że będziesz się czuł spełniony, gdy napiszesz książkę, która da ci poczucie spokoju wewnętrznego. Jak to rozumieć?

- Nie wiem, czy to nie utopia pisarska, ale zależy mi na tym, żeby w pełni przelać na papier to, co bulgocze mi w puszcze mózgowej. Możliwie, że dążenie do tego spełnienia jest tym motorem działań. Niewątpliwie jednak chciałbym napisać książkę, której treść w pełni byłaby moją projekcją siebie na zewnątrz.

- Spotykasz się ze zrozumieniem swych happeningów i prowokacji? Jak społeczeństwo odbiera Sławomira Shutego?

- Powiem szczerze, że nie wiem. Trzeba by przeprowadzić jakieś badania. Ostatnio zresztą ograniczam się do spotkań autorskich i projekcji filmów, a w tym przypadku ma miejsce raczej tematyczna dyskusja i odbiorcy nie muszą redagować opinii na temat proroka antykonsumpcji.

- A więc minął już czas papieża, który biczuje się parówkami za konsumpcyjne grzechy społeczeństwa?

- Raczej tak. Cała inicjatywa była pomysłem Piotra Mareckiego („Ha!art”) i trzeba przyznać, że natrafiła na dość



masową, medialną potrzebę takich happeningów. Osobiście nigdy się z tym w pełni nie utożsamiałem. Żadna kreacja nie jest wygodna, bo przegromnie ogranicza niezależność. To, co robię, od początku było manifestowaniem sprzeciwu wobec tendencyjnym uprzedmiotowieniem. Wyobraź sobie Jurka Owsiaka, który na ulicy dokonuje niemoralnego czynu. To byłby skandal! Taki święty człowiek



Sławomir Shuty: - Tak, wciąż opieram się na doświadczeniach z własnego życia...

nie może dokonać czegoś wbrew przyjętym zasadom. Ja wyzbyłem się etykiet.

- Ale „Cukier w normie”?

- Tak, oczywiście (śmiech). Nawet badałem się ostatnio i wyniki są jak należy.

- Jaka rola we współczesnej sztuce została powierzona młodej generacji? Mamy jakąś szansę?

- W młodości uważałem, że świat jest zły i istnieje dla zysku i wyzysku. Sztuka natomiast była dla mnie rebelią przeciwko podziałom na panów i niewolników. Utożsamiałem ją z pięknem. Teraz wiem, że jest takim samym aspektem życia jak inne. Nie jest to norma, ale za „piękno” uważa się to, co się opłaca. Młodzi są zawsze niewygodni, budzą strach swoją bezkompromisowością. Ci, którzy mogli-

by im pomóc, właściwie zajmują się własnymi sprawami i wolą nie dopuszczać do głosu teoretycznych następców. Co nie oznacza, że nie należy walczyć. Jakże inaczej można by się w tym odnaleźć?

Rozmawiał Bartosz Walat

- „Cukier w normie” to zbiór opowiadań, którego tendencyjny tytuł sprawił, że w wielu księgarniach książka ta znalazła się w dziale „Zdrowie”, co dopełniło happeningowy charakter początkowego etapu twórczości Sławomira Shutego.

Nowa płyta angielskiej formacji electro-popowej „Goldfrapp”

Magiczne angielskie drzewo życzeń

Joanna Oparcik

Swoją czwartą płytą pt. „Seventh Tree” angielska formacja electro-popowa Goldfrapp udowadnia, że nie tylko potrafi odrzucić stylistykę, do której przyzwyczaiła przez lata swoich fanów, ale też ma niezwykłą zdolność płynnego przejścia w klimaty bardziej neutralne i „organiczne”, co bynajmniej nie oznacza, że nudne.

Od kilku lat obserwuję tę grupę i zawsze przy nowym projekcie zastanawiam się, jak daleko muzycy tym razem pójdą w stronę elektroniki. Ostatnio duet złożony z wokalistki Alison Goldfrapp oraz multiinstrumentalisty Willa Gregory’ego swoje muzyczne fascynacje wyraził na wydanej w 2005 r. płycie „Supernature” (wprawdzie później, w 2007 r., wypuścili „Glitter”, ale była to tylko kompilacja miksów piosenek z „Supernature”).

Poprzednia płyta była wspaniałym przykładem dźwięków *glam* rodem z lat 70. – pełna kakofonia electro i disco w nowoczesnej i nowatorskiej formie, co w połączeniu z intrygującym głosem wokalistki nadawało płycie bardzo narkotyczny efekt. Czy tym razem poziom zamilowania do zabawy w przetwarzanie dźwięków z pomocą syntezatora przekroczył poprzednio zaprezentowany?

Okazało się, że paradoksalnie tytuł poprzedniej płyty bardziej by pasował do obecnego. Zaserwowano nam bowiem EP-kę (na krążku zamieszczono, niestety, zaledwie 10 piosenek) pełną akustycznych, ciepłych, wręcz korzennych melodii.

Wydany 25 lutego najnowszy, czwarty album pokazuje, jak wiele fascynacji wpływa na kolejne dokonania tego samego artysty. Więc o ile ostatnio Alison zaserwowała nam stylistykę pełną kabaretowych nawiązań i burleskowych odniesień w stylu Marieny Dietrich, o tyle obecnie formacja postawiła na pełną naturalność. Akustyka, jaką odznacza się ta płyta, ociepla nieco zimny wizerunek grupy, który zakorzenił się w świadomości wielu słuchaczy.

Pomimo wielkiej intymności albumu nie jest on bynajmniej albumem fol-

kowym. Podobne skojarzenie nasuwa się zapewne ze względu na specyficzny klimat, jednak gatunkowo to nie folk. Jest to dalej muzyka, którą można nazwać elektroniczną – jednak formacja udowadnia, że nawet electro może być naturalne, jak ogrzana w słońcu kora drzew. Pewne ścieżki przetarte przez poprzednie albumy są kontynuowane – w kawałku „Little Bird” stylistyka psychodelicznych dźwięków rodem z lat 60. wciąga podobnie, jak niektóre dokonania z „Supernature” lub „Black Cherry”, ale w naturalniejszej, wspólnej dla całego albumu formie. „Happiness” przywodzi na myśl trochę kawałki the Beatles ze słynnej ery żółtej łodzi podwodnej.

Zachwycił mnie również utwór numer jeden, „Clowns”, zbudowany wokół akustycznego dźwięku gitary i wysokiego zaśpiewu Alison, który kojarzy mi się trochę z indiańskimi pieśniami rytualnymi. Klimat ten piosenki przywodzi na myśl północnoamerykańskie stepy – puste okolice, gdzie tylko w oddali widać stado dzikich mustangów. Na płycie zdarzają się też bardziej epickie kawałki, rozwijające się powoli w coraz szerszą skalę, ale nadal w proporcjach albumu – akustyczna gitara, także pianino i harfy to jedyne instrumenty, jakim pozwolono „zakłócać” spokojny nurt obrany na „Seventh Tree”. Użycie przez autorów sample ze śpiewem ptaków, szumem drzew i odgłosami rzeki potęguje tylko wrażenie naturalności, ale i nierealności.

Jak możecie zauważyć, najsilniej uderza podczas przesłuchiwania poszczególnych utworów ta ich niezwykła plastyczność – od razu nasuwały mi się skojarzenia z Anglią: monumentalnymi wrzosowiskami, jakby żywcem z opowieści sióstr Brontë, wąskimi kamiennymi ścieżkami małych miasteczek czy też wszechobecnymi lasami, gdzie wciąż panuje mgła. Anglia odzwierciedlona w tym albumie jest tak różna, a przy tym spokojna.

Przymiotniki, takie jak „miękka”, „organiczna”, „ciepła”, „intymna” czy „neofolkowa”, bez wątpienia najlepiej opisują muzykę zawartą przez tę dwójkę

na ich czwartym albumie. I trudno uciec od popadania w owe malarskie skojarzenia (co, jak widać, przydarzyło się i mnie), ale to świadczy tylko o niezwykłości płyty. Album bowiem został złośliwie dla recenzenta (zmuszając go do trudu opierania się przed owymi myślami) wypełniony po brzegi czymś, co spokojnie można by nazwać welwetowym brzmieniem – jest ciepło, korzennie, muzyka otula słuchacza. Cały czas miałam przed oczami obraz chłodnego marcowego poranka, gdy okuci w gruby, szeroki, kaszmirowy sweter, w wysokich kaloszach spacerujemy po opustoszałym wciąż lesie.

Dla ortodoksyjnych fanów grupy może być zaskoczeniem odejście od cięższej, brokatowej stylistyki poprzedniego albumu, gdzie electro-disco mieszało się w szalonej płataninie melodii z syntezatorami. Jednak nie sądzę, żeby w ostatecznym rozrachunku byli zawiedzeni. Odrzucając nieco barokową, pełną przepychu oprawę obecną w dotychczasowych dokonaniach grupy, mamy okazję zapoznać się z bardziej akustyczną wersją ich twórczości. Ascetyzm ograniczający szerokie użycie wielu środków ekspresji, wielu płaszczyzn dźwięków nakładających się na siebie i dających poczucie chaosu pozwolił mi bardziej skupić się na głosie wokalistki. Tu Alison nie tylko operuje głębokim (choć może nie wybitnym technicznie), lekko zachrypniętym, ale wciąż miłym głosem, ale także, np. przy okazji „Clowns”, moduluje go, żeby osiągnąć wyższe dźwięki i zamierzony, nieco hipnotyczny efekt.

Jak zwykle, co charakterystyczne dla tej grupy, także warstwa graficzna związana z kolejnym wydawnictwem została dopracowana w każdym calu. Pierwszym singlem jest piosenka A&E zilustrowana spokojnym, ale także dowcipnym teledyskiem (zwróćcie uwagę na bardzo podejrzanego gitarzystę siedzącego przed namiotem pod koniec clipu), wyreżyserowanym przez Dougala Wilsona. Wystarczy powiedzieć, że pojawiają się tam „drzewni ludzie” obrani od stóp do głów w liście. Alison ma podobną do artystek

popowych wrażliwość i świadomość, jaki efekt można osiągać nie tylko muzyką, ale i obrazem. Biorąc pod uwagę niekomercyjną muzykę, przypomina całłościowo bardziej Roisin Murphy (która nomen omen także wydała niedawno świetną płytę „Overpowered”) niż Madonnę lub Kylie (co sugeruje wielu recenzentów).

Okladkę singla zdobi przepiękne, oniryczne zdjęcie wokalistki z wielką sową, a wizualne otoczenie towarzyszące płycie związane jest z cyrkiem, sennymi marzeniami (gdzie bardzo często pojawiają się sowy) i uosobionymi przez Alison klaunami.

Całościowy charakter płyty – senny i ciepły, lecz bynajmniej nie usypiający – na pewno nie wszystkim będzie odpowiadał. Amatorów cięższej muzyki może nieco znudzić, przy okazji kolejnych piosenek będą oczekiwać bardziej „uderzających po uszach” melodii. Z kolei zatwardziały fanów czysto electro-popowych dokonań grupy ciężko będzie chyba przekonać do nieco rewolucyjnego wytworu powstałego wśród cichych pól Sommerset.

Wydaje się, że po hedonistycznych uciechach poprzednich albumów „Se-

venth Tree” został nagrany po to, żeby uciszyć pełną resztek brokatu migrenę (jedna z linijek tekstu „Some people” mówi nawet: „When the glitter’s gone”). I rzeczywiście. Alison sama przyznała w jednym z wywiadów, że po długiej i męczącej, psychicznie i muzycznie (te wszechobecne bity i syntezatory), trąsającej promującej „Supernature” owa dwójka potrzebowała odtrutki. Marzy mi się więc, żeby każda wydawana na rynku płyta trzymała poziom tego antidotum – jakże miło byłoby się co dzień budzić z takim kacem. ■

Koncert wiolonczelowy C-dur Josepha Haydna oraz „Pieśń o ziemi” Gustava Mahlera były wydarzeniem muzycznym

Warto chodzić do filharmonii...

Mateusz Płocica

I dąc w jeden z piątkowych wieczorów na koncert symfoniczny do Filharmonii Krakowskiej, miałem nadzieję, że usłyszę i zobaczę coś niezwykle i zarazem oryginalnego. Faktycznie, nie pomyliłem się...

Najpierw na scenę weszli muzycy, a zaraz potem pojawił się znakomity niemiecki dyrygent Kai Bumann przywitany brawami. Pierwszy wykonany został *Koncert wiolonczelowy C-dur* Josepha Haydna. Po chwili ujrzelśmy młodego wiolonczelistę Bartosza Koziaka, który bardzo energicznie rozpoczął występ. Należy podkreślić, że jest on laureatem wielu konkursów muzycznych, m.in. w Paryżu, Berlinie i Pradze. Utwór, którego mieliśmy okazję wysłuchać, Haydn napisał dla rodziny Esterhazych, jednak zaginął i odnalazł się dopiero w 1961 r. w Pradze.

Krakowskie wykonanie okazało się muzycznym strzałem w dziesiątkę. Na początku solista prowadzony był w moderato przez orkiestrę, ale już dokładniejsze rozwinięcie tematu muzycznego dało mistrzowski popis umiejętności. Dzieło Haydna pełne jest różnego rodzaju skoków oraz wirtuozerii. To muzyka przyjemna dla ucha, a jeśli na dodatek wykonuje ją osoba utalentowana, to dźwięki wiolonczeli brzmią jeszcze donioślej. Bartosz Koziak wydobył ze

instrumentu niezwykle pokłady energii oraz prawdziwą jakość dźwięku.

W drugiej części koncertu zaprezentowany został publiczności utwór „Pieśń o ziemi” Gustava Mahlera. Składa się on z sześciu pieśni, których teksty zaczerpnięto z wierszy średniowiecznych chińskich poetów. Jeśli chodzi o powstanie samego utworu, to łączy się on z tragicznymi okolicznościami z życia kompozytora. W 1907 r. zmarła na szkarlatynę ukochana córka Mahlera, poza tym lekarze rozpoznali u niego nieuleczalną chorobę, a on sam jako dyrektor i dyrygent wiedeńskiej opery stał się przedmiotem medialnej nagonki, w wyniku której musiał ustąpić z zajmowanego stanowiska. Same pieśni są rozważaniem nad ludzkim życiem, znaczeniem miłości, samotnością oraz przemijaniem pór roku. Przeplatają się w nich na przemian głosy tenoru i altu.

Wspominając o koncercie, nie sposób pominąć innych artystów, chociażby takich jak Ewa Marciniak. Asolwentka Akademii Muzycznej w Gdańsku, laureatka licznych konkursów wokalnych, doskonalcą warsztat m.in. pod kierunkiem Carla Bergonziego, współpracowała z licznymi orkiestrami, dokonała wielu nagrań. Jej wspaniały głos mieliśmy okazję podziwiać podczas pieśni „Der Einsame im Herbst” („Samotny jesienią”),



w której mowa o przyrodzie szykującej się do zimowego snu. Sama solistka w słowach pieśni podkreśla, że jej także potrzebny jest odpoczynek od życia i otaczającego ją świata. Pragnie być samotna i zastanawia się nad tym, czy „słońce miłości” kiedykolwiek jeszcze jej zaświeci.

Omawiając kolejne pieśni, konieczne trzeba wspomnieć o tenorze Romanie Sadniku, który znakomicie wtórował na scenie Ewie Marciniak. Odznaczający się wspaniałym głosem tenor i niezwykle oryginalnym wyglądem twarzy (mam tutaj na myśli charakterystyczne baki – niezwykle rzadko spotykane wśród artystów) zachwycił publiczność podczas pieśni „Von der Jugend” („O młodości”) wycuciem rytmu oraz barwą głosu.

Piątkowy wieczór spędzony w Filharmonii Krakowskiej na długo pozostanie w mej pamięci. Wybiorę się tam jeszcze nieraz... ■

„Kinowa kolekcja archeologiczna” (film niemy nr 2):
„Metropolis” Fritza Langa

„Serce pośrednik”, czyli o tym jak ręce i umysł rywalizowały w kinie

Joanna Oparcik

Předstawiam następny film z mojej osobistej, jak to nazywam, „kinowej kolekcji archeologicznej”, którą wy możecie spokojnie nazywać „subiektywną”.

Ostatnio pisałam o świetnym filmie niemym pt. „*Nosferatu – symfonia grozy*”. Mam nadzieję, że po tamtej lekturze choć jedna osoba spróbowała podjąć dyskusję z naprawdę starym kinem i obejrzała jakiś film niemy, niekoniecznie ten omawiany. Wiem, że dla części jest to zbyt trudne – o tym, jak niełatwa jest w naszych czasach do zaakceptowania poetyka filmu niemego, niech świadczy fakt, że nawet moja koleżanka, zapalona kinomanka, wzdryga się na oksymoroniczne dla niej wyrażenie *film niemy*.

Dziś jednak podejmuję drugą, wydaje mi się, że ostatnią próbę przekonania was do tego gatunku filmowego. Oczywiście, jak mówiłam, wartościowych, a często także i znaczących filmów dla kina niemego jest wiele (że wymienię chociażby produkcje pod znakiem Chaplina, Flipa i Flapa, filmy takich mistrzów jak Siergiej Eisenstein, Fritz Lang czy chociażby Marou), ale dziś przedstawię wam niezwykle film właśnie w reżyserii sławnego Fritza Langa pt. „*Metropolis*”.

Z jednej strony ów wybór został podyktowany wysokim poziomem filmu, a z drugiej istnieje szansa, że będzie dla was łatwiejszy do przyswojenia (być może niektórzy słyszeli o wspaniałej nowej animacji Osamu Tezukiego z 2001 r. pod tym samym tytułem zainspirowanej filmem sławnego Niemca). Dzieło Langa, nakręcone w 1927 r., prezentuje historię chętnie ostatnio przytaczaną przez wielu publicystów – kojarzącą się nam, współczesnym, z programami typu reality show, z wszelkimi formami megamózgu

„Wielkiego Brata” wciąż kontrolującego „bohaterów”. Lang wychodzi w tym filmie od historii podziału miasta na dwie strefy: *Mysłicieli*, żyjących na powierzchni, pracujących umysłowo, i *Robotników*, którzy całe dni spędzają na pracy fizycznej w straszliwych warunkach. Ciekawe, że obie grupy są całkowicie od siebie odseparowane, nie mają ze sobą kontaktu. *Mysłciele* są w stanie wymyślić dowolną rzecz, ale nie widzą, jak temu nadać życie w praktyce, *Robotnicy* wykonujący zlecane zadania zaś nigdy nie będą w stanie zrozumieć zasad i mechanizmów, na jakich oparto kolejne projekty. Owa dziwna zależność spowoduje wkrótce bunt i doprowadzi do straszliwych wydarzeń.

Przełomem w tej historii jest klasyczna szekspirowska miłość. Syn najważniejszego z naukowców, Freder, zakochuje się z wzajemnością w córce robotnika, anarchistce Marii. Ta zakazana międzyklasowa miłość (temat jakże klasyczny) powoduje zachwianie światem *Metropolis*. Freder, zakradając się do świata *Robotników*, z przerażeniem odkrywa, że jego ojciec i całe otoczenie żyje tylko dzięki okrutnemu systemowi ukierunkowanemu na bezlitosne wykorzystanie innego człowieka. Uprzywilejowani kontra uciskani. Widz wie, że nadchodzi rebelia...

Pomijając przedstawioną historię, niezwykłość filmu objawia się w jego majstersztyku technologicznym. Bez wątplenia Lang stworzył dzieło wyprzedzające swą epokę – wszelkie przedmioty to nie małe, powiększone przez kamerę, papierowe elementy, ale wykonane z wielką precyzją klasyczne makiety (ową technikę wykorzystywano jeszcze wiele lat później). Film ma niezwykłą głębię dzięki ciekawej technice kolorowania klisz ręcznie, klatka po klatce. Tematyka – futurystyczne miasto przyszłości – spowodowała, że na ekranie zauważymy



tak niezwykle przedstawienia jak cyborgi, roboty czy monumentalne budowle. 26 tys. statystów, dwuletnia realizacja i techniczna strona przedsięwzięcia zapewniła reżyserowi zasłużone pierwsze miejsce w kategorii „koszty nakręcenia filmu” w tamtym czasie. Klasyczny układ filmu niemego – pisane plansze przedstawiające poszczególne dialogi – są ciekawym dla współczesnych widzów zabiegiem.

„*Metropolis*” było kamieniem milowym w dziejach niemej kinematografii – jego wizjonerstwo zainspirowało twórców wielu późniejszych filmów. „*Lowca androidów*”, „*Piąty Element*”, „*Batman*” czy „*Matrix*” to tylko niektóre z nich. Dziś sami możecie go bez problemu zobaczyć – film został bowiem wydany na DVD przez Best Film Do waszej domowej kolekcji polecam również „*Metropolis*” Tezuki jako doskonale uzupełnienie.

Warto zainteresować się niemym kinem nie tylko ze względu na świetne filmy, ale choćby z narodowego solidaryzmu. Jedną z największych bowiem gwiazd tej epoki w historii kinematografii była Polka Apolonia Chałupiec znana bardziej jako Pola Negri. Kręcąc takie filmy jak „*Madame Dubarry*”, „*Sumurun*”, „*Hiszpańska tancerka*” czy świetnie oceniany nie tylko przez widzów, ale i krytykę „*Zakazany raj*”, na stałe wpisała się do panteonu gwiazd, które nie mając jednego z podstawowych dla człowieka środków ekspresji, poruszały wyobraźnię tysięcy widzów. ■



anty_konceptcja tandety

W ramach cyklicznej imprezy „Niepokorni” organizowanej przez klub studencki „Żaczek” 1 lutego odbył się koncert grupy „Voo Voo”

Niepokorny surrealizm

Bartosz Walat

Obiektywną opinię nieujmującą geniuszu kreatywnym sławom bardzo trudno pozbawić namiastki drwiny. Coraz częściej w „środkach mdłego przekazu” przybiera ona nawet wymiar współczucia, w wyniku czego to, co słowniki określają mianem „sztuki”, przeobraża się w „dmuchawce, latawce, wiatr”

Trzeba jednak przyznać, że poszczególne formacje (choćby te prezentowane już w ramach anty_konceptcji) posiadają charakteryzujący je patent, który zapewnia szczególną pozycję nawet wtedy, gdy zderzenie twórczość – rzeczywistość rozplywa się bez rozgłosu. I chyba właśnie temu patentowi zawdzięczamy nieskażony mediami rozwój sceny alternatywnej lub jak w danym wypadku – bezrozwojowe trwanie tej sceny, swoistą zadowalającą wegetację.

Pomijając wątpliwość, czy od nieugiętych filarów ratujących nas przed inwazją muzycznych płyiczn należy wymagać jeszcze rewolucyjnych przewrotów, zmuszony jestem zakomunikować, że w klubie „Żaczek” zaprezentowała się grupa „Voo Voo” i zagrała tak jak zwykle (czyli całkiem inaczej niż każdego poprzedniego razu kiedykolwiek i gdziekolwiek – czy taki patent ma prawo się znudzić?). Koncert odbył się w ramach cyklu imprezy „Niepokorni”, organizowanej po raz trzeci w studenckim klubie i po raz kolejny wzbogaconej występem „młodych nieokrzyszanych” (tym razem „Graftmann” i wystawa zdjęć Olgi Śmiechowicz).

Przyznam, że bardzo trudno jest mi być obiektywnym na dłużej niż dwie godziny, dlatego też pominąłem wspomniane wydarzenia towarzyszące, by móc w sposób należyty przyjrzeć się

obecnej formie przyjacielskiej kompanii Wojciecha Waglewskiego. W efekcie miałem przyjemność uczestniczyć w spacerze po tęczy światowych brzmień, folkowych naleciałości i spolszczonych punkową tradycją improwizacji. Tak bowiem chyba najtrafniej można określić to, co ziszcilo się podczas występu „Voo Voo”. Kontakt z publicznością, który stanowi dla mnie kluczowy element rozpoznania atmosfery panującej na koncercie, przybrał w wypadku



tej grupy charakter muzycznych zabaw Mateusza Pospieszalskiego (saksofon, flet, klarnet basowy, instrumenty klawiszowe, akordeon), który bogactwem improwizowanych dźwięków „jak zwykle” zasypał zaczerpniętą publiczność.

Subtelność muzycznych odcieni i jakkolwiek rozumiane nasycenie barw dopełniły obrazu kolorowego muzycznego tworu, jaki po przeszło dwudziestu latach od powstania zespołu nadal nawiązuje do jego ideowych źródeł o ponadpodziałowych formach kulturowej ekspresji. Zacięta walka z minimalizmem kolejny raz rozprawiła się z drobnostkowym rozumieniem muzyki i z poetycką mocą instrumentalnych tworów doprowadziła zebranych do zachwyty. Osobiście nie kultywuję symboliki „Voo Voo”,

ale bez wątpienia jest to grupa o autonomicznej pozycji na naszym ryneczku muzycznym. Kolejny raz dowiedli, że ich charakter, źródła i w efekcie nieposkromiona eteryczność wykraczają znacznie poza granice naszego kraju.

W związku z napotkanymi głosami o moim zbyt mało klarownym sposobie formułowania myśli pozwałam sobie na celowy recenzencki pastisz i bazując na źródłach „Wikipedii”, pragnę przedstawić charakterystykę grupy „Voo Voo” zarysowaną w sposób komunikatywny:

Twórczość zespołu przechodziła ewolucję od początkowo mrocznych i surrealistycznych obrazów w warstwie tekstowej, okraszonych podobną muzyką, do coraz pogodniejszych i bardziej dynamicznych klimatów. Muzyka „Voo Voo” sięgała nieraz do żywiołowych, graniczących z transem rytmów, zapożyczonych z różnych gatunków muzycznych. Choć zespół umiejętnie łączy je ze sobą, poszczególne płyty mają jednak zwykle jakiś dominujący styl. W tekstach przeważa proste słownictwo, nawiązujące do mowy potocznej, ale jednocześnie są one pełne gier i zabaw językowych, a treść dotyczy często przeżyć egzystencjalnych i metafizycznych. Pod tym względem są bliskie utworom Lecha Janerki czy zespołu „Raz Dwa Trzy”, z którymi zresztą wielokrotnie koncertowali. Sam Waglewski uważa, że ważniejsza jest muzyka, a pisanie tekstów traktuje jako dodatek do niej.

Bez skrupułów mam zamiar zamianifestować, że był to kolejny występ w duchu sprzeciwu wobec wszechobecnych koncepcji tandety. Tym samym jestem zmuszony do oficjalnego przyznania się, że nawet dwie godziny obiektywności to katorga, od której próby po raz kolejny się wzbronilem. ■

- Wywozimy ze sobą zawsze jakąś małą częsteczkę Krakowa...

Rozmowa z Jerzym Zoniem, dyrektorem Teatru KTO w Krakowie



Jerzy Zoń: - Od zawsze byłem zafascynowany twórczością Hrabala...

Do tej rozmowy przygotowałem się bardzo długo, gdyż osoba z którą miałem przeprowadzić wywiad, to wielki autorytet w świecie teatralnym. Choć Jerzy Zoń spieszył się, to jednak poświęcił mi kilkadziesiąt minut na naszą rozmowę. Dotyczyła ona jednak nie tylko sztuki i teatru, ale również sprawy ostatnio bardzo głośnej w Krakowie, a związanej z przyznaniem mu przez

władze miasta mieszkania gminnego w zamian za zasługi artystyczne.

O tym, jak artysta tłumaczył się ze stawianych mu zarzutów oraz jak wyjaśniał swoją trudną sytuację i cały przebieg zdarzenia, możecie przeczytać poniżej.

Pomijając to wszystko, twierdząc, że Jerzy Zoń to człowiek mający misję do spełnienia i żyjący prawdziwie sztuką. Jego energia, otwartość w kontaktach i uśmiech sprawiły, że opuszczając budynek Teatru KTO, poczułem się bardziej bogaty wewnętrznie i mniej zatroskany „rytuałem życia”, o którym mówił mój gość.

- Ostatnio w wielu gazetach w Krakowie mogliśmy przeczytać o sprawie mieszkaniowej, której stał się pan bezpośrednim bohaterem. Przypomnijmy, że stracił pan swoje

mieszkanie z powodu pojawienia się prawnych właścicieli. Co może pan powiedzieć o tym zdarzeniu?

J.Z.: - Uważam, że polskie prawo jest bardzo niesprawiedliwe i nierówne, gdyż tematy własności powinno się rozwiązywać w inny sposób. Zwróciłem się z prośbą do władz miasta, które przekazały sprawę do komisji kultury. Komisja kultury natomiast stosunkiem głosów 6:2 przegłosowała sprawę, uznając mnie za nieodzownego dla tego miasta i przyznając mi przez to mieszkanie. Co jednak

ma zrobić 12 tysięcy innych osób znajdujących się w podobnej sytuacji w Krakowie? Uważam, że problemem tym powinien się zająć rząd, gdyż taka sytuacja nie powinna mieć miejsca. W dodatku ów problem najbardziej dotyka krakowian, w innych miastach występuje on bowiem w bardzo małej skali.

- Na jakiej zasadzie pan tam mieszkał? Czy to było mieszkanie wynajmowane przez pana?

J.Z.: - Nie, było to mieszkanie przydzielone mi przez gminę w 1988 r. Po upadku komuny zaczęli się pojawiać prywatni właściciele, nie wiedziałem, że mieszkam w prywatnej kamienicy... Mojemu koledze na przykład przydzielono mieszkanie, ale było ono własnością gminy i mieszka w nim do dziś. Podobne dostał Czesław Miłosz. Moja sprawa toczy się już od marca, wiem, że mam zagwarantowane to mieszkanie, ale jeszcze nie ma podpisanej umowy. To wszystko krążyło po różnych komisjach, m.in. komisji kultury i sprawa dalej czeka na rozstrzygnięcie. Co miesiąc jestem jednak informowany o postępach.

- Sprawa ta budzi wielkie kontrowersje, pojawiły się również głosy w Krakowie, które insynuują, że za pańskim przykładem pójdą inni artyści znajdujący się w trudnej sytuacji finansowej. Mało tego, wiele osób sądzi, że stać pana na kupno mieszkania, bo jako dyrektor teatru zarabia pan ponoć kilka tysięcy złotych, a nawet stać pana na zaciągnięcie kredytu na zakup mieszkania. Proszę zatem powiedzieć, co pan sądzi na ten temat...

J.Z.: - Sprawa jest dość prosta, żeby zaciągnąć 500 tys. zł kredytu, mając lat 55, trzeba nie mieć wyobraźni. Znam takie przypadki, że bank ubezpiecza, bank ceduje spłatę na najbliższą rodzi-

nę. Ale generalnie ludzie, którzy w tym wieku biorą taką sumę kredytu, są pozbawieni wyobraźni lub mają wyobraźnię chorą. Dlatego też nie wziąłem tego kredytu, choć pewnie bym go uzyskał. Słyszałem, że w wydziale kultury powstał taki pomysł, żeby pewne mieszkania przekazywać w Krakowie ludziom zasłużonym, a jest ich sporo. Myślę, że jest to podyktowane pewną modną akcją „zatrzymujmy wartościowych ludzi w naszych miastach”. To świetny pomysł sprzed kilku lat. Do Wrocławia przyjeżdża wielu artystów, gdyż otrzymują tam mieszkania. Pod uwagę brane jest ich nazwisko, osiągnięcia i dorobek. Poza tym w Krakowie ludzi z prawdziwie dużym dorobkiem jest co najwyżej kilkudziesięciu. Uważam, że mnie bardzo pomogło to, że jeździmy po całym świecie – przez tych 30 lat mieliśmy ponad milion widzów, występowaliśmy w Niemczech, we Włoszech, w Ameryce Południowej, Rosji. Wywozimy przez to ze sobą zawsze jakąś część Krakowa.

- Wróćmy jednak do sztuki. „Sprzedam dom, w którym już nie mogę mieszkać” oparta jest na fragmentach twórczości Bohumila Hrabala. Co może pan powiedzieć o tym artyście i co skłoniło pana do włączenia jego twórczości w elementy sztuki?

J.Z.: – Od zawsze byłem zafascynowany twórczością Hrabala i to nie tylko tym opowiadaniem, z którego zaczerpnąłem tytuł. Tytuł oryginalny to „Sprzedam dom, w którym już nie chcę mieszkać”. Premierę mieliśmy trzy lata temu, od tamtego czasu zagraliśmy to już 400 razy. O Hrabalu mówi się, że był wielkim gawędziarzem, który rozmyślał często nad losem ludzkim, opowiadał, zmyślał, przede wszystkim jednak uwielbiał rozmawiać. Był częstym bywalcem restauracji. Miał nieprzeciętny talent opowiadania, nagromadził wiele różnych historii w swoich opowieściach. Przeczytałem wiele jego dzieł i zapamiętałem różne fragmenty, takie jak np. komiczny ślub, tragikomiczny pogrzeb. Chcieliśmy pokazać rytm życia człowieka, jego przemijanie. To samo przemijanie w jego opowieściach znakomicie zostało ukazane.

- Przed sztuką ogromne wrażenie na publiczności robią różnorakie po-

stacie, które przechadzają się wśród widzów po korytarzu teatralnym, m.in.: młodzieniec w garniturze, para tańcząca tango, zawiadowczyni stacji, która w piersiach nosi latarki... itp. Co może pan powiedzieć o tych postaciach i co one przedstawiają?

J.Z.: – Wszystkie te postacie są wyjęte ze świata hrabalowskiego – zawiadowczyni stacji, która w swoich piersiach ma latarki, symbolizuje piękną konduktorkę o dużym biuście. W następnym przedstawieniu postaramy się również użyć takiego ruchu, żeby oddzielić widzów, którzy przychodzą tutaj z ulicy, od świątyni, czyli sceny. Ten korytarz możemy nazwać czyścem, dzięki czemu widzowie powoli oswajają się z tym, co się wydarzy na scenie.

- Co przedstawia sama sztuka, gdyby miał pan ją określić w paru słowach?

J.Z.: – Najogólniej mówiąc, sztuka przedstawia rytuał życia. Dotyczy także przemijania oraz wielu innych spraw, takich jak słabość człowieka, która została pokazana w formie groteskowej. Na żadnej z postaci nie pozostawiamy suchej nitki, śmiejemy się z nich, puszczamy do nich oko, dystansujemy się do nich. Pokazujemy wiele barw natury człowieka.

- Teraz zadam panu kilka zdań i proszę o ich dokończenie: „Mój największy sukces to”...

J.Z.: – Moim sukcesem jest to, że przez tyle lat prowadzę ten teatr i że on istnieje. Znam mnóstwo grup, które rozpadły się po pięciu lub sześciu latach działalności. Kolejnym sukcesem jest to, że od 2005 r. staliśmy się teatrem miejskim. Za największe sukcesy artystyczne uważam też wielkie widowiska plenerowe. Za sukces uznałbym ponadto to, że mamy stałych widzów nie tylko w Krakowie, ale na całym świecie.

- „Marzy mi się”...

J. Z.: – Marzy mi się trochę większa scena oraz wyremontowanie całego teatru. Są to marzenia brutalne, ale niezwykle ważne. Poza tym sprawa praw własności, pojawili się nowi właściciele, którzy nie chcą zapłacić za remont, podobnie jak miasto, gdyż nie jest to budynek użyteczności miejskiej.

- „Obecnie”...

J.Z.: – Obecnie wznawiamy kilka sztuk i wyjeżdżamy do Kolumbii na trzy tygodnie, wrócimy w wielkim tygodniu

- „Do kogo kieruje pan zaproszenie na swoje spektakle?”...

J.Z.: – Nasza oferta przeznaczona jest dla szerokiej widowni: od uczniów podstawówki do widzów stułetnich...

- „Jaką rolę pełnią podczas spektaklu widzowie?”...

J.Z.: – Nie lubię wtrącać do akcji widzów, przemeblowywać itp. Pełnią oni rolę obserwatorów.

- „Co w teatrze uznałby pan za najważniejsze?”...

J.Z.: – W teatrze najważniejsze są dobre przedstawienia, zespół ludzi oraz praca aktorów.

- „Jak by pan zachęcił studentów do chodzenia na wasze przedstawienia i wydania 20 zł na bilet?”...

J.Z.: – Przede wszystkim bym powiedział, że zobaczą teatr nietypowy, którego przedstawienia wydają się nietypowe i nienudne! Nasze przedstawienia są krótkie i zawsze o czymś! Jeśli uważa się je za śmieszne, to jest to śmiech inteligentny, a nie rechot. Jeśli są tragiczne, to dotyczą jakiejś poważniejszej sfery emocjonalnej człowieka. Poza tym nasze przedstawienia odbiera się jako klarowne i czyste, niepowikłane. Docierają do każdego widza, nawet tych z zagranicy. Graliśmy we Francji, w Niemczech, Rosji... Przychodzą do nas tabuny cudzoziemców. Gramy sztuki bez tekstów. Cudzoziemcy, którzy przyjeżdżają do takiego kulturalnego miasta, jakim jest Kraków, nie mają gdzie iść, jeśli nie znają języka polskiego... Przecież nie wybiorą się na sztukę z tekstem ani do opery, dlatego wybierają naszą ofertę.

- „Jaki sukces w pańskim życiu oraz działalności artystycznej jest dla pana najważniejszy?”...

J. Z.: – Myślę, że daliśmy się poznać jako teatr wielkich widowisk plenerowych oraz wydarzeń. Budowaliśmy to od lat. Zaczynaliśmy jako mały studencki teatrzyk i nawet do głowy by mi wtedy nie przyszło, że wyjdziemy na ulicę...

Rozmawiał Mateusz Płocica

Przyzwyczailiśmy się już do tego, że kiedy w telewizji przerwany zostaje na chwilę film, idziemy do kuchni zrobić sobie herbatę bądź kawę albo wyprowadzamy na dwór psa...

Nasza obrona przed inwazją reklam

Magdalena Zakrzewska

Czy potraficie sobie przypomnieć dzień, w którym choć przez chwilę nie towarzyszyła wam reklama? Jeśli tak, to pewnie z trudem. Jeśli nie, to nic dziwnego. Reklama zawładnęła naszym życiem na dobre, jest dosłownie wszędzie i niestety nie zamierza nas opuścić. Niektórzy próbują się jeszcze przed nią bronić. Świadomi jej wpływu i agresywności, starają się uodpornić na jej wszechobecność. Jednak większość z nas pogodziła się już z tym, że reklama wiezie prym we wszelkich środkach masowego przekazu.

Interesujący film, wciągająca akcja i znakomita obsada aktorska... Z niecierpliwością czekamy na dalszy ciąg wydarzeń, kiedy nagle z fotela zrywa nas przerażający hałas. Napadli kogoś na ulicy? A może kolejna awantura za ścianą? Spokojnie. To tylko „krótka” przerwa, podczas której zostaniemy zasypani masą podobno niezbędnych informacji. Co zrobić, a raczej co kupić, żeby mieć piękny i zdrowy uśmiech? Czym nakarmić psa i jak ustrzec się przed krępującymi wzdęciami podczas seansu filmowego w kinie? Cierpliwości. Swoje umiejętności zaprezentują też śpiewające warzywa i gadające sztuczki. Na koniec krótki przegląd programu telewizyjnego, zapowiadający następne filmy przerywane reklamami.

Trudno w to uwierzyć, ale istnieją jeszcze kanały filmowe, które próbują zachęcić odbiorców do kupna abonamentu poprzez gwarancję nieprzerywania filmów i programów reklamami. Po przeprowadzonych akcjach telemarketingowych okazało się, że jest więcej przeciwników niż zwolenników braku przerw reklamowych. Potrafimy sobie poradzić z natrętną i irytującą reklamą telewizyjną, a nawet pozytywnie wy-

korzystać czasem dłuższą od serialu przerwę. To przecież idealny czas na wyprowadzenie psa na spacer, zapalenie papierosa, przygotowanie kolacji, odbycie paru rozmów telefonicznych czy zrobienie zakupów w osiedlowym sklepiu. Właściwie to filmy przerywają reklamy, ale zdążyliśmy się już do tego przyzwyczaić.

Powyższy przykład jest doskonałym dowodem na to, że reklama atakuje nas przede wszystkim w domu. W domu, w którym powinniśmy odpocząć po ciężkim dniu i czuć się po prostu bezpiecznie. Jednak w takich warunkach trudno się zrelaksować i na cokolwiek skupić. Więc może wyłączyć telewizor i poczytać czasopisma? To na pewno jakieś wyjście, pod warunkiem że jesteśmy gotowi wydać pieniądze, a potem denerwować się, że na co drugiej stronie znajduje się oczywiście reklama. W takim razie został nam jeszcze Internet. Przecież to my sterujemy komputerem i decydujemy w wirtualnej przestrzeni o tym, co chcemy czytać i oglądać. No, niestety. I tym razem nie do końca się udaje. Wyskakujące i często niemożliwe do zamknięcia reklamowe okienka potrafią wyprowadzić z równowagi każdego. Radio też na nic się zda, jeśli ludzimy się, że tam nie będzie reklam. Co prawda, odczujemy ulgę dla oczu, ale ciągle będziemy je słyszeć.

Nawet jeśli wyłączymy telewizor, a za nim radio i komputer, nie uciekniemy przed reklamą. Nie zapomnijmy o telefonie komórkowym, którego pamięć nieustannie wypełniana bywa wiadomościami o różnego rodzaju nowinkach i konkursach, w których wygramy kosmiczną sumę pieniędzy, za które oczywiście kupimy wszystkie reklamowane i najlepsze produkty. Telefonu stacjonar-

nego najlepiej nie odbierać, bo po drugiej stronie słuchawki usłyszymy szczebiocącego telemarketera, który przeprowadzi z nami ankietę, a po opracowaniu jej wyników zapewne zadzwoni za kilka dni i zaoferuje wymarzony przez nas produkt. Drzwi też najlepiej nie otwierać, bo przecież może pukać akwizytor.

Nadchodzi moment, w którym musimy wyjść z domu. Może na zewnątrz będzie spokojniej? Po tym, jak pozbieramy jeszcze ulotki z naszych wycieraczek, czeka na nas tzw. reklama zewnętrzna – outdoor. Bilboardy, plakaty i tablice wołają: „Spójrz na mnie!”. Czasem takie niewinne spojrzenie zza kierownicy samochodu na piękną modelkę reklamującą bieliznę może spowodować nieprzyjemne skutki.

Jeśli już jesteśmy przy środkach transportu, nie można nie wspomnieć o reklamach umieszczanych na samochodach, autobusach i tramwajach. Próba bezpośredniego dotarcia do konsumentów spowodowała wykorzystywanie nawet najmniejszych przestrzeni (np. uchwyty w autobusach) czy zamieszczania w nich telewizorów emitujących reklamy (na szczęście już bez dźwięku!). Przejście przez ulicę czy supermarket bez ulotki lub tzw. gratisu w ręce graniczy z cudem. Prześladujące nas hostessy pojawiają się nie tylko w sklepach, ale także na różnego rodzaju imprezach.

Reklama jest i będzie obecna w naszym życiu, a próba ucieczki przed nią może nas doprowadzić do sytuacji błędnego koła. Możemy zminimalizować skutki oddziaływania na nas reklam i uświadomić sobie prawa, jakimi się rządzą. Nie popadajmy jednak w paranoję i starajmy się znaleźć sobie miejsce w tej krzykliwej i kolorowej rzeczywistości. ■

Na małopolskich uczelniach rozpoczyna się akcja „Pilnuj drinka”

GHB, czyli „pigulka gwałtu”

Prywatka, impreza, balanga, clubbing, dobra zabawa, elektryzująca muzyka, towarzystwo, drinki... „pigulka gwałtu” – to scenariusz, którego nie kreślimy na co dzień. Ile młodych padło ofiarą GHB? Czy grozi to również tobie?

GHB, bezbarwny i bezwonny narkotyk, powodujący utratę świadomości, potocznie nazywany „pigulką gwałtu”, coraz częściej pojawia się w polskich klubach, pubach, dyskotekach. Jest wykorzystywany do oszołomienia z góry upatrzonej osoby w celach przestępczych, z których najczęstszymi są gwałt, kradzież, uzyskanie danych, takich jak numer konta czy numer PIN karty bankomatowej.

W szponach narkotyku

Narkotyk GHB, określany najczęściej mianem „pigulki”, może też mieć postać płynu, proszku, granulatu. Po zmieszaniu z płynem jest niewyczuwalny, nie zmienia barwy, smaku ani zapachu napoju. Objawy spożycia, takie jak uczucie rozluźnienia czy osłabienie czujności, łatwo pomylić z działaniem alkoholu. Tak działa pigułka w małych dawkach. W dużych powoduje uczucie oszołomienia, zawroty głowy, zaburzenia równowagi, problemy z logicznym i wyraźnym mówieniem oraz senność. Może także powodować stan nieświadomości, zanik pamięci, jednak bez utraty przytomności. Po zażyciu jest się całkowicie bezradnym i najczęściej zdany na łaskę osoby, która pod pozorem pomocy zamierza wykorzystać ten stan.

Jak nie zostać ofiarą „pigulki gwałtu”?

- Na imprezy zawsze wybieraj się w towarzystwie zaufanych znajomych. Unikaj znajomych „z przypadku”;
- **NIGDY** nie pij czegoś, co oferuje ci nieznajoma osoba. Nigdy nie możesz być pewna, czy w danym napoju nie ma substancji **GHB**;
- **UNIKAJ** dzielenia się i wymieniania napojami;
- **STARAJ SIĘ** kupować napoje w fabrycznie zamkniętych opakowaniach i otwierać je własnoręcznie. Jeżeli nie jest to możliwe, obserwuj, jak napój jest przyrządzany;
- **NIE ZOSTAWIAJ** szklanki/kubka bez opieki, nawet gdy odchodzisz tylko na chwilę. Jeżeli stwierdzisz, że Twój napój stoi w innym miejscu niż go zostawiłaś lub wygląda i smakuje inaczej – **NIE RYZYKUJ!**;
- **KIEDY POCZUJESZ SIĘ DZIWNIE** (mdłości, senność, zachwianie równowagi po małej ilości alkoholu, problemy z wymową) zgłoś się o pomoc do zaufanej osoby lub do obsługi lokalu;
- **ZASTANÓW SIĘ**, z kim opuszczasz lokal (zdecydowana część ofiar zostaje napadnięta przez osoby, które pierwsze zaoferowały pomoc);
- w razie postępowania objawów i pogarszania się ogólnego stanu **KONIECZNIE** skontaktuj się z lekarzem i powiadom policję.

Na małopolskich uczelniach rozpoczyna się akcja „Pilnuj drinka”. Już wkrótce pojawią się plakaty akcji promujące świadomą zabawę i przestrzegające przed GHB. Organizatorem kampanii jest Krajowe Biuro ds. Przeciwdziałania Narkomanii. Więcej informacji na stronie <http://pilnujdrinka.pl/>

PILNUJ DRINKA



KOCZ JOR DRINK

PILNUJ DRINKA



ŁOĆZ JOR DRINK!

ZAWSZE pilnuj drinka!

NIGDY nie przyjmuj drinków od nieznajomych!

BO...

- KTOŚ MOŻE DODAĆ DO NIEGO NIEBEZPIECZNEJ SUBSTANCJI (BEZ SMAKU, ZAPACHU I BARWY)
- MOŻESZ STRACIĆ ŚWIADOMOŚĆ – SUBSTANCJA TAKA OBEZWŁADNIA
- MOŻESZ ZOSTAĆ OFIARĄ PRZESTĘPSTWA (GWAŁT, KRADZIEŻ ITP.)
- NIE BĘDZIESZ PAMIĘTAĆ, CO SIĘ Z TOBĄ DZIAŁO

skłóce w młodości nie wspierają



www.pilnujdrinka.pl